GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LUTEGO 1935 R.
NR. 3 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 3

1935 R.

1— II

ZDARZENIA i POGLĄDY

NIEPOKÓJ WALUTOWY

Niema go w Polsce. Ale właśnie dlatego możemy swobodnie mówić o walutach zagranicznych. A mówić o nich warto bo wszystko, co się pisze o sytuacji walutowej świata w krajach, które znajdują sę niejako „in mediis rebus" tejże sytuacji, jest nacechowane zrozumiałą ostrożnością, niedomówieniami, albo wreszcie zgoła wyraźną inspiracją tej czy innej polityki walutowej danego rządu. Dlatego też obraz właściwy się zaciera, a na plan pierwszy występują elementy taktyczne i zgoła nieistotne.

Odrzucając bardziej szczegółowe okoliczności. które wprawdzie lepiej oświetlają ale i komplikują sprawę, z całego światowego zagadnienia walutowego otrzymamy szkielet następujący: procesy przystosowawcze do nowego silnie obniżonego i kształtującego się dopiero poziomu cen światowych poszły w poszczególnych czołowych organizmach gospodarczych świata dwiema różnemi drogami. Jedne kraje usiłowały i usiłują dojść do nowego poziomu cen przez obniżkę kosztów własnej produkcji, pozostawiając niezmienioną wartość pieniądza w złocie, inne — postanowiły nowej równowagi szukać na drodze manipulacyj kursem pieniądza. Półtora roku temu — na światowej konferencji gospodarczej i finansowej w Londynie — nastąpiło ostateczne skonfrontowanie obu punktów widzenia, ostateczna próba pojednania i... ostateczny rozłam.

Od tej chwili żyjemy na świecie w przewlekłej fazie niepokoju walutowego. Nie znaczy to, aby następowały jakieś kataklizmy w kształtowaniu się kursów poszczególnych walut, aby czyjś dumping walutowy podrywał jakieś inne gospodarstwa narodowe, jakkolwiek niewątpliwie wywóz krajów o walucie zdeprecjonowanej konkurował bardzo skutecznie z wywozem krajów o walucie złotej. Nie znaczy to — przedewszystkiem — aby nastąpiły jakieś decydujące przemiany w poglądach na kwestję stabilizacji walut i rolę złota w wymianie międzynarodowej. Pojawiały się wprawdzie, przedewszystkiem w Stanach Zjednoczonych i Anglji, bardziej lub mniej ściśle wypracowane teorje waluty indeksowej jako „przyszłej waluty" świata. Pomijając poważne wątpliwości teoretyczne, pozostały one jednak poza obrębem wpływu na praktyczną politykę walutową. Można, mianowicie, już dziś utrzymywać, że sfery decydujące i w Waszyngtonie i w Londynie nie zamierzają *utrzymać na* stałe obecnego oderwania się ich walut od podstawy złotej. Że kwestją nierozstrzygniętą jest tu raczej *poziom stabilizacji* przyszłego dolara i funta, a zwłaszcza — *termin* tej stabilizacji.

Co do jednego jak i co do drugiego brak wszelkich autorytatywnych oświadczeń ze strony kół decydujących. To też w tym wypadku należy rozumować samemu. Jest, mianowicie, prawie pewne, że prez. Roosevelt i jego rząd nie chcą, jak dotychczas, obniżać dolara wdół od obecnego jego poziomu stabilizacji faktycznej (59,06 proc. jego po-

przedniej wartości), dokonanej równo przed rokiem. Operacja ta umożliwiła rządowi waszyngtońskiemu zdobycie olbrzymich środków na sztuczne „nakręcanie konjunktury" w Stanach, zaś stabilizacja de facto dolara pozwala od roku na rozwijanie bardzo szerokiej wewnętrznej akcji kredytowej rządu, bez której rozdęty po stronie wydatków budżet Stanów załamałby się oddawna. Rzecz jednak w tem, iż dotychczas *jeszcze niewiadomo*, czy obecnie istniejąca deprecjacja dolara *starczy* Waszyngtonowi dla przeprowadzenia choć w części jego istotnych zamierzeń. Gdyby nie starczyła, to prez. Roosevelt ma jeszcze prawo obniżyć dolara do 50 proc. jego poprzedniej wartości i prawo to chce sobie zachować „na wszelki wypadek". Stąd wniosek, że dolara obecnie jeszcze stabilizować ostatecznie *nie można*. Jeden z podstawowych elementów stabilizacji walut światowych nie może zostać zatem wykonany.

To już w dużej mierze decyduje o niemożności ostatecznej stabilizacji funta angielskiego, który również od szeregu miesięcy trzyma się właściwie na jednym i tym samym poziomie — jakkolwiek z dużym trudem (kosztowna interwencja funduszu wyrównawczego...), gdyż faktyczna stabilizacja dolara stworzyła odpowiednie przesłanki dla odpływu kapitałów amerykańskich spowrotem z Anglji do Stanów Zjednoczonych, co znów wpływać musi osłabiająco na kurs funta. Ale to nie wszystko. Z tego, co mówił ostatnio brytyjski kanclerz skarbu o widokach stabilizacji funta, widać, że oprócz kursu dolara niepokoi go jeszcze zagadnienie franka francuskiego. Zarówno w Stanach jak i w Anglji mianowicie *nie wierzą*, aby Farncja mogła wyjść z obecnego swego kryzysu inaczej jak dopuszczając do dalszego spadku franka. Zdają sobie sprawę z faktu, iż z przyczyn wewnętrzno-politycznych i społecznych dalsze obniżanie kosztów produkcji i cen we Francji jest trudne. Wypadki zdają się zresztą potwierdzać te przypuszczenia. Nowy premjer francuski, p. Flandin, wypowiedział się przeciw deflacji. Wypowiedział się i przeciw dewaluacji- ale jednocześnie zmienił dotychczasową „ściśle klasyczną" politykę Banku Francji dopuszczając redyskonto krótkoterminowych bonów skarbowych — chwilowo zresztą do wysokości 15 miljardów franków. Jest to ograniczona inflacja kredytowa, która — w niekorzystnym wypadku — może pójść dalej i doprowadzić do wcale poważnych wstrząsów. I dlatego, być może, w Londynie nie chcą stabilizować funta, dopóki nie będą pewni, że *po stabilizacji* tej nie załamie się kurs franka. Albowiem — oczywiste jest — drugi raz odrywać funta od złota nikt się już nie zdecyduje.

I nakoniec jedna wielka niewiadoma — marka niemiecka. Nie jest ona właściwie w sensie międzynarodowym pełnowartościowym pieniądzem. Ale oficjalny jej kurs trwa nadal. Czy jednak p. Schacht nie czeka tylko na moment stabilizacji światowych walut, aby potem *„spuścić"* markę dla wzmocnienia konkurencyjności przemysłu niemieckiego na rynkach światowych.

Sytuacja jest, jak widać, wysoce skomplikowana. I anormalny stan trwa nadal. W zagadnieniu walutowem świata nie zostało jeszcze powiedziane „ostatnie słowo". Ciągle wydaje się, że je usłyszymy — ciągle widzimy, że musimy czekać nadal. Kiedy raz wstrząsnął się mechanizm gospodarstwa światowego, niełatwo jest wrócić do "nowej równowagi„.

Jakież wynikają stąd wnioski? Wydaje się, że w najbliższym czasie blok złoty, a właściwie waluty jego zachodnio-europejskich członków będą musiały zdawać egzamin ze swej trwałości. Ośrodkiem jest w tym wypadku frank francuski. Gdyby się zachwiał wątpliwe jest, czy w Belgji, Holandji i Szwajcarji, gdzie istnieją i tak już potężne czynniki dewaluacyjne, waluty utrzymałyby się przy parytecie obecnym. Włochy w gruncie rzeczy z chwilą zaostrzenia w grudniu r. ub. swych ograniczeń dewizowych nie są już państwem kultywującem nieskrępowane działanie waluty złotej. Pozostaje Polska.

Polska znajduje się w warunkach na tyle specyficznych, że niemożliwem jest wyprowadzenie co do perspektyw złotego wniosków analogicznych do rozumowań powyższych. Deflacja posunięta u nas bez porównania dalej niż w innych krajach złotych, nasze słabe kontakty towarowe i kapitałowe z zagranicą, oparcie dotychczasowej polityki walutowej o własne posunięcia nie zaś o pomoc zagranicy, oraz silny hamulec dla dążeń dewaluacyjnych, jakim jest wspomnienie dwuch przeżytych załamań waluty, wszystko to sprawia, że absolutnie nie możnaby przesądzać losów złotego w zależności od kształtowania się polityki i kursów walut innych krajów bloku złotego. W pewnym sensie złoty jest walutą wyjątkowo mało zależną od czynników innych niż autonomiczna polityka Rządu, stale stojąca na gruncie zasady utrzymania parytetu złota i dlatego też światowy niepokój walutowy ma dla nas relatywnie najmniejsze znaczenie.

DYSKUSJA UBEZPIECZENIOWA

CZY KRYZYS UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH?

Wystarczyło pół wieku, aby za wzorem danym przez Niemcy bismarckowskie poszło 30 innych krajów i sieć obowiązkowych ubezpieczeń społecznych pokryła cały niemal świat cywilizowany— od Wielkiej Brytanji do Bułgarji na drugim krańcu Europy, Japonji i państw południowo-amerykańskich, przy różnym oczywiście zasięgu przymusu ubezpieczeniowego, składek, świadczeń i udziału skarbu państwa. W obrębie powojennego rozkwitu polityki społecznej znalazły sobie wyraz nietylko utarte przed wojną formy ubezpieczeń społecznych na wypadek choroby, starości, przedwczesnej niezdolności do pracy, śmierci, ale i zupełnie nowe poza Wielką Brytanją ubezpieczenie od ryzyka czysto gospodarczego — braku pracy. Można było obawiać się, że powojenne zaburzenia walutowe skażą na zagładę wraz z kapitałami ubezpieczeniowemi samą ideę ubezpieczeń społecznych. Jak dotychczas, idea ta przechodzi zwycięsko wszystkie próby, jakkolwiek dawniejsze zasobne instytucje ubezpieczeniowe przeważnie musiały odbudowywać się finansowo.

W ten sposób ubezpieczenia społeczne stały się integralną cząstką ustroju społecznego każdego narodu, roszczącego sobie pretensję do miana cywilizowanego. Posiadła je bezpośrednio przed wojną Rosja carska i ma je w swoistej upowszechnionej postaci Rosja sowiecka; nie uległy żadnym większym zmianom ich zasady w Niemczech po 30 stycznia 1933 roku; na szerszą skalę już w momencie ekonomicznej depresji przyswoił je sobie naród drobnych rentjerów i pilnego oszczędzania indywidualnego — Francja; ten sam zwrot w opinji publicznej dokonał się tam, gdzie wysokie płace czyniły przymus przezorności, zdawało się, zbędnym — w Stanach Zjednoczonych A. P.; Italja po marszu na Rzym, krocząc drogami odrębnego ustroju państwowego, poszła w dziedzinie ubezpieczeń społecznych starą ścieżką — Mussolini dał swemu krajowi ciekawy, choć jeszcze nierozbudowany całkowicie, system ubezpieczeń społecznych z ubezpieczeniem na starość i na wypadek niezdolności do pracy, z ubezpieczeniem na wypadek braku pracy, oraz z bardzo szeroko zakreślonem ubezpieczeniem na wypadek gruźlicy jako pierwszym elementem dla przyszłego ubezpieczenia na wypadek choroby i nadto ze specjalnem wszechstronnem ubezpieczeniem marynarzy. Powszechnie uznano ubezpieczenia społeczne za najskuteczniejszy i najbardziej zgodny ze współczesnemi tendencjami środek podnoszenia poziomu zdrowia i kultury mas.

Nie znaczy to, by kryzys nie żłobił w finansach ubezpieczeń społecznych rys głębokich, zmuszając je do restrykcji świadczeń. Ponieważ ubezpieczenia społeczne są dotychczas naogół tylko ubezpieczeniami pracowników najemnych, a przynależność do tych instytucyj w ogromnej większości wypadków ogranicza się do osób pozostających w stosunku umowy o pracę, przeto ze wzrostem bezrobocia spadała liczba ubezpieczonych. Polityka „zaciskania pasa" jest dziś przecież zjawiskiem powszechnem, choć gdzieindziej może dawać wyniki mniej rażące niż u nas — w myśl przysłowia o losach chudego w tym czasie, kiedy tłusty chudnie.

Nie brak też poza granicami naszego kraju pomysłów ulżenia przesileniu gospodarczemu przez radykalne amputacje albo zgoła zniesienie ubezpieczeń społecznych. Dziś na całym świecie jest więcej niż kiedykolwiek bezrobotnych rozmyślających i piszących; wszędzie też istnieją emeryci, a w cichych urzędach prowincjonalnych pomocnicy referentów, którym nie brak czasu na płodzenie pomysłów, mających świat zbawić; wszędzie istnieje prasa brukowa, rada pochwycić temat, dający sposobność do długiego wymyślania czegoś lub na coś. Na tem jednak kończy się podobieństwo między krajami starej tradycji w nauce i praktyce społeczno - ekonomicznej a Polską, gdzie ludzie poważni gotowi są brać na serjo każde takie naiwne „odkrycie".

W Niemczech po „rewolucji hitlerowskiej" posypały się projekty: scalenia wszystkich rodzajów ubezpieczeń z jedną składką i jednolitemi świadczeniami; przekazania ich w całości Niemieckiemu Frontowi Pracy jako emanacji robotniczej jedynego w państwie stronnictwa; zastąpienia systemu ubezpieczeniowego systemem oszczędności. Cała ta rewolucyjna góra zrodziła mysz w postaci zniesienia autonomicznej administracji instytucjami ubezpieczeń społecznych, co jest zupełnie zrozumiałe w państwie „totalnem". Do tego sprowadza się wydana w połowie ubiegłego roku niemiecka ustawa o konstrukcji ubezpieczenia społecznego, w której ostrożność posunięto do tego stopnia, że nadano jej charakter ramowy: ustawa wykreśla linje zasadnicze komisarskiego ustroju organizacyjnego, przewidując jego przeprowadzenie w ciągu niemniej niż *dwóch lat*. Przy naszej ustawie, której olbrzymia treść wynika z popularnego tytułu „scaleniowa", ustawie, która wprowadziła dwa działy ubezpieczeń społecznych nowe zupełnie dla większości terytorjum państwa (inwalidzkie i na starość), nie mówiąc już o innych zasadniczych zmianach nią objętych — od uchwalenia ustawy do wprowadzenia jej w życie dano aż *pół roku*, okres ten natomiast wystarczył na to, by w ciągu niego znieść przewidziane ustawą nowe organy zwierzchnie — Izbę i Zakłady Ubezpieczeń Społecznych i zastąpić je innym systemem organizacyjnym.

W numerze poprzednim „Gospodarki Narodowej" rozpoczęliśmy dyskusję w sprawie ubezpieczeń społecznych. W obecnym numerze zamieszczamy artykuły dotyczące założeń ogólnych systemu ubezpieczeń społecznych, w następnym zaś — artykuły rozważające z punktu widzenia gospodarczego poszczególne problemy ubezpieczeniowe.

Redakcja.

Z wielu przyczyn, wśród których nie ostatnią jest zaabsorbowanie tak często dokonywaną reorganizacją systemu, w Polsce nie ustaliliśmy trwałych i decydujących dla myśli społeczno - ubezpieczeniowej wytycznych. Nawet tak prostych, jakie dał „reakcyjny“ rząd hitlerowski przez usta sekretarza stanu Krohna z okazji wspomnianego ustawowego zniesienia autonomji instytucyj ubezpieczeniowych: „Wymagamy od każdego obywatela — oświadczono wówczas — w pierwszej linji, by sam się ubezpieczył na wypadek zmian w swym losie, o ile tylko wystarczają na to jego siły. Przezorność wobec niebezpieczeństw w przyszłości jest obowiązkiem moralnym jednostki. Nowe państwo, podkreślając związek między wszystkimi ludźmi czynu twórczego, musi żądać także od pracodawcy, aby ułatwiał i pomagał swemu pracownikowi w przezorności jego wobec choroby i starości. Lecz i siły pojedyńczego przedsiębiorcy są ograniczone. Państwo musi również troszczyć się o niebezpieczeństwa, grożące zdrowiu i gospodarczemu dobrobytowi człowieka pracy. Jednakże państwo przeciwne jest, by jednostce odjąć całkowicie odpowiedzialność za jej losy. Jedynie przy realizacji takich zasad może wychowywać się obywatel na indywidualność w pełni odpowiedzialną, silną i świadomą. Jest przecież obowiązkiem państwa wkraczać tam, gdzie siły jednostki lub małej spólnoty nie wystarczają na odparcie uderzeń losu“.

Z takiej samej definicji zasad ubezpieczenia społecznego wychodzili oficjalnie jego promotorzy. Taką mógłby podpisać nieboszczyk Bebel i żyjący przywódca „unitarnego“ ruchu zawodowego Jouhaux. Taka może i powinna obowiązywać logicznie i konsekwentnie wszystkie posiadające ubezpieczenia społeczne 30 krajów — bez wyjątku.

Dr. Melanja Bornstein-Łychowska.

PAŃSTWO WSPÓŁCZESNE A USTAWODAWSTWO SOCJALNE

Rozwój ustawodawstwa socjalnego w Europie odbywał się pod bezpośrednim naciskiem politycznego ruchu robotniczego, występującego przeważnie, chociaż nie wyłącznie pod sztandarami socjalizmu. Rola socjalizmu w tworzeniu ustawodawstwa socjalnego była tak ogromna i tak aktywna iż zrozumiałem jest, że w umysłowości szerokich mas całe to ustawodawstwa przedstawiało się jako zjawisko o charakterze wyłącznie socjalistycznym, a przecież pierwszym realizatorem ubezpieczeń socjalnych był Bismarck i to naskutek przedłożeń sztabu generalnego, zaniepokojonego poważnem pogorszeniem się zdrowotności rekrutów z okręgów przemysłowych.

Bismarck był wyjątkowym mężem stanu, który w realizacji idei, wypisanej na sztandarach ruchu w zasadzie wrogiego w stosunku do państwa, potrafił dostrzec interes państwowy i narodowy.

W tej całej historji szczególnie znamiennym i pełnym głębokiego sensu jest fakt, że narodziny ustawodawstwa socjalnego nastąpiły w związku z instytucją powszechnej służby wojskowej. Służba wojskowa była poczynając od momentu zróżnicowania społecznego uzasadnieniem i podstawą przywilejów oraz praw tych warstw społecznych, które były obowiązane do stawania w zbrojnej potrzebie. Ustrój państwowy, oparty na stanowych przywilejach, runął razem z instytucją armji zawodowej, a rozwój demokracji w XIX wieku szedł równolegle z rozpowszechnianiem się systemu powszechnej służby wojskowej. Powszechność tego czynnego obowiązku wobec państwa odegrała ogromną rolę w utrwaleniu się w masach poczucia powszechnej równości praw jednostki wobec państwa. Tę zmianę w psychice mas można zresztą uważać jedynie za tło, na którem rozwijała się działalność państwa, idąca w kierunku ograniczenia możliwości wyzysku człowieka przez człowieka. Jeśli chodzi bowiem o motywy, to państwo ustępowało w tej sprawie pod naciskiem politycznym socjalizmu, a motywacja socjalistyczna potrzeby ustaw socjalnych była nie państwową ale klasową.

Potem przyszła wielka wojna, która zmobilizowała dla bezpośredniej walki, lub dla pracy na potrzeby wojny niemal całą ludność, zdolną do walki i do pracy. Wszelkie zdobycze socjalne zostały na czas wojny zawieszone, przeważnie za wyraźną i wcale nie przymuszoną wolą robotników. A po skończonej wojnie zostało podniesione nanowo zagadnienie rozbudowy ustaw społecznych, tym razem już niekoniecznie w szacie ideologji socjalistycznej, ale motywowane jako dobre prawo żołnierzy, którzy należycie spełnili swój obowiązek wobec państwa.

Wojna więc spowodowała przełom w ideologji postulatów socjalnych. Socjalizm stracił monopol na reprezentowanie idei ustawodawstwa społecznego. Nowy ruch polityczny — radykalny nacjonalizm — włączył zagadnienia socjalne do swego programu, ale nadał im zupełnie odmienne uzasadnienie. Ruchy radykalno - nacjonalistyczne w poszczególnych krajach nie mają jednakowego oblicza i jednakowej doktryny, a nawet wogóle nie mają dostatecznie wyraźnie skrystalizowanej doktryny. W ogólnych jednak zarysach postawę radykalno - nacjonalistyczną w stosunku do zagadnień socjalnych, ujętych przez ustawodawstwo społeczne można streścić jak poniżej.

Państwo jest formą bytu narodu i środkiem realizacji narodowych celów. Zadaniem państwa jest utrwalenie istnienia narodu, stworzenie mu możliwości wzrostu liczebnego, spotęgowanie jego siły, rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Ponieważ państwo jest jedynym środkiem realizacji tych celów jest ono najwyższem dobrem narodu. Jednostki powinny podporządkować swe cele celom państwa, które reprezentuje zbiorowe interesy narodu. Naród jest czemś więcej, niż sumą jednostek o wspólnej kulturze i języku. Naród jest sam jednością biologiczną, a państwo to nie kontrakt społeczny — to fakt przyrodniczy i jednocześnie mit.

Nędza części narodu, spowodowana zbyt nierównomiernym podziałem dochodu narodowego, to nietylko niesprawiedliwość społeczna. To zjawisko

szkodliwe dla interesów narodu jako całości, a więc państwa, gdyż podrywa jedność psychiczną, osłabia psycho - biologiczną żywotność znacznej części narodu, a więc i ogólną siłę państwa. Dlatego państwo, nie negując swobody prywatnej inicjatywy w działalności gospodarczej nie może pozostawić sprawy podziału dochodu społecznego wolnej grze sił. Podział dochodu społecznego powinien być dokonywany zgodnie z interesem narodu jako całości. Kwestja zwalczania głodu, nędzy, chorób— to integralna część problemu bytu i rozwoju narodu — państwa. Dochód społeczny jest wynikiem pracy całego narodu nie tylko jako sumy pracujących jednostek, ale jako zbiorowości zorganizowanej w państwo. Przynależność do narodu daje jednostce prawo do części dochodu nawet bez pracy, jeśli w tem niema winy danej jednostki. Źródłem tego prawa jest interes narodu — konieczność zachowania liczebności i siły — a nie interes danej jednostki, i jej abstrakcyjne prawo do istnienia. Państwo zabezpiecza byt jednostki, ale wzamian żąda całkowitego podporządkowania się jego celom. Własność prywatna staje się w tych warunkach formą użytkowania zbiorowej własności narodowej.

Tak rozumują względnie czują ludzie, którzy przeszli wojnę oraz ci, którzy dojrzeli po wojnie. Całe już pokolenie prawie dorosło w warunkach istnienia ustawodawstwa socjalnego i ubezpieczeń społecznych. Nie zna ono historji powstania tych instytucyj i jest to mu zupełnie obojętne. Istnieją pewne prawa i pewne fakty, najzupełniej zgodne z nurtującemi poglądami na cele oraz zadania państwa i to wystarcza.

I oto w takim momencie zjawia się rewizjonizm, rewizjonizm wywołany przez bardzo różnorodne przyczyny i motywy. Nie mam tu na myśli „rewizjonizmu" w sensie domagania się usprawnienia administracji, przebudowy skali stawek i świadczeń. Chodzi mi o coś innego. O próby zakwestjonowania *samej zasady*. Ten kierunek myślenia mimowoli jest echem przedwojennych ataków na ustawodawstwo socjalne. U podłoża stanowiska przedstawicieli tego kierunku, niejednokrotnie dałby się odnaleźć — pozornie tylko logiczny — następujący tok rozumowania. Skoro socjaliści-inicjatorzy i obrońcy ustawodawstwa socjalnego— są dziś bankrutami politycznymi, pozbawionymi zupełnie znaczenia w Europie, skoro podczas kryzysu ludzie odczuwają bardzo mocno ciężar świadczeń społecznych — tedy istnieją szanse na obalenie ustawodawstwa socjalnego i nadszedł moment odpowiedni dla zaatakowania go.

Rozumowaniu temu istotnie nie brak wewnętrznej logiki, ale przesłanka jest całkiem fałszywa i wynikła z nieporozumienia. Państwo dzisiejsze nie może skasować ubezpieczeń społecznych, podrywałoby bowiem jedną z naczelnych idei, na których opiera się jego autorytet, nie mówiąc już o tem, że działałoby przeciw swoim interesom materjalnym.

Zygmunt Szempliński.

UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE WOBEC ZMIAN W STOSUNKACH GOSPODARCZYCH

Za punkt wyjścia rozważań przyjmuję założenia, że 1) ubezpieczenia społeczne zaspokajają istniejące potrzeby gospodarcze, które w obecnem stadjum rozwoju, cywilizacyjngo i w warunkach obecnego ustroju gospodarczego nie mogą być zaspokojone środkami indywidualnemi, a nie mogą nie być zaspokojone oraz 2) że forma ubezpieczeniowa jest najdogodniejszą z możliwych teoretycznie form z punktu widzenia indywidualnego i społecznego, oraz ze stanowiska gospodarstwa społecznego. Te dwie tezy nie są u nas naogół kwestjonowane, a jednostkowe próby szukania powiązań odrębnych bezwątpienia nie dają możności, przeciwstawienia im jakiegoś innego ujęcia sprawy. Z pierwszego założenia wynika konieczność szukania przez państwo rozwiązania problemu w drodze przepisów prawa publicznego, z drugiego konsekwentne obejmowanie zjawisk systemem ubezpieczeniowo - społecznym i zwężanie tem samem zakresu działania systemów opieki społecznej, lub bezpośredniego normowania spraw przez zainteresowane w tem czynniki, jeżeli chodzi o sfery, objęte stosunkiem wzajemnej wymiany usług na podstawie umów o pracę i pokrewnych — przez pracodawców i pracowników. Przy stosowaniu tych założeń do konkretnych zjawisk w określonych warunkach powstaje jednak cała masa zagadnień i kwestyj spornych, których sposoby rozwiąznia są w znacznym stopniu ograniczone charakterem zjawisk normowanych oraz systemem ubezpieczeniowym. Na kilka z tych, obecnie aktualnych, zagadnień uważam za wskazane zwrócić uwagę.

Jednym z problemów, jakie wysuwa rozwój stosunków gospodarczych i walutowych okresu po wojennego jest zagadnienie elastyczności form ubezpieczeniowych i zabezpieczenia rezerw. Zagadnienie to miało swoją wagę w czasach inflacyjnych, które powodowały topnienie rezerw, jeżeli one nie były lokowane w bardziej chronionych formach. W zakresie obciążeń zagadnienie to było normowane wówczas drogą podwyższania w nominalnych wartościach składek ubezpieczeniowych lub przyjmowania jednostek teoretycznych za podstawę do określenia wysokości składek ubezpieczeniowych. W zakresie świadczeń ubezpieczeniowych wyrównywano różnice w realnej wartości pieniądza drogą zmian ich wysokości nominalnej lub drogą dodatków. Oczywiście ubezpieczenia społeczne nie wyszły z tego okresu bez szwanku, skutki tych wstrząsów trwają do dziś dnia i wyrażają się w mniejszych rezerwach lub deficytach oraz w obniżonych świadczeniach, opartych na przeciętnej z czasu obejmującego również okres inflacji i hiperinflacji. Obecnie przeżywamy okres odwrotny i analogiczne zagadnienia powstają ponownie w odmiennym charakterze. Występują one również w obu dziedzinach: obciążeń składkowych i wydatków świadczeniowych, a zwłaszcza w tym drugim zakresie. Mniejsze działanie deflacji w zakresie obciążeń jest spowodowane tem, że—przy przyjętym u nas systemie składki o ruchomej wysokości, zależnej od wysokości wy-

nagrodzeń, a w sumie globalnej również od ilości osób zatrudnionych — gospodarstwo społeczne samorzutnie powoduje zmniejszenie obciążenia oraz że bezpośrednie obciążenie produkcji i wymiany drogą zmniejszania wynagrodzeń, odbywa się przez proces przerzucania, przez przesunięcie w kierunku pośredniego obciążenia, Proces dostosowywania jest utrudniony w wypadkach, gdy chodzi o wyrównanie zaległych należności oraz w razie objęcia ubezpieczeniem nowych sfer (jak było z ustawą o ubezpieczeniu społecznem) w pierwszym okresie po tych zmianach zwłaszcza w stosunku do instytucyj, mających mniejszą łatwość dostosowywania się (instytucje publiczno - prawne, opierające stosunki służbowe na szczegółowych przepisach prawnych). Z tych przyczyn według wszelkiego prawdopodobieństwa, powstał zarzut o „przeroście ubezpieczeń społecznych".

To samo zagadnienie występuje w drugiej dziedzinie — wydatków, w pierwszym rzędzie na świadczenia ubezpieczeniowe, a zostało rozciągnięte, w rozmachu polemicznym, również na zakres świadczeń. Świadczenia są wydawane w naturze (głównie lecznicze) oraz w gotówce. Te drugie, albo są uzależnione od wysokości bieżących wynagrodzeń ubezpieczeniowych, albo od przeciętnych z całego okresu ubezpieczenia, przyczem część z nich została przyznana w czasie niższej wartości waluty. Gospodarcza wartość świadczeń w naturze podlega ogólnemu procesowi dostosowywania się, podobnie świadczenia pieniężne, uzależnione od wysokości bieżących wynagrodzeń. Natomiast trudność dostosowania się do nowych warunków istnieje w świadczeniach pieniężnych, opartych na przeciętnej z całego okresu ubezpieczenia, podobnie, jak istniała taka sama trudność, w poprzednich latach w związku z okresem inflacyjnym i ta trudność nie została usunięta w sposób doskonały. Poza nawiasem procesu dostosowywania się są świadczenia, przyznane w czasach, poprzedzających deflację lub w jej początkach. Im bardziej oddalamy się od początku deflacji tem to zagadnienie staje się mniej ostrem, przy znacznej jednak ilości świadczeń poprzednich i zabezpieczeniu rezerw w formach ulegających również procesowi deflacyjnemu może ono nabrać większego znaczenia.

Odrębnego rozpatrzenia wymaga kwestja zakresu potrzeb, zaspakajanych przy pomocy systemu ubezpieczeniowego. Teoretycznie można przyjąć, że im ten zakres jest większy, — tem wyniki są korzystniejsze, gdyż ciężar, połączony z zaspokajaniem tych potrzeb jest korzystniej rozłożony w czasie i przestrzeni. Należy przy tem zauważyć, że celowość instytucji ubezpieczenia społecznego zależy od tego, czy istnieje odpowiednia proporcja między możnością zaspakajania potrzeb jednostek, pozostających w stanie aktywnym, a tą możnością jednostek, dotkniętych t. zw. wypadkiem losowym, gospodarczo i cywilizacyjnie biernych, oraz że zakres i wysokość świadczeń nie mogą być unormowane w sposób, niezależny od rynku pracy. Zbyt małe odchylenie między sytuacją jednostek czynnych i biernych gospodarczo i społecznie byłoby zjawiskiem ujemnem, zbyt duża rozpiętość podważałaby wartość gospodarczą ubezpieczenia i uniemożliwiałaby dodatnie oddziaływanie ubezpieczeń społecznych na stosunki gospodarcze. Na tem, przedewszystkiem, w obecnych naszych warunkach, opiera się, mojem zdaniem, potrzeba i znaczenie odrębnego unormowania uprawnień emerytalnych pracowników umysłowych, stąd wynika potrzeba rozciągnięcia również na sfery robotnicze zasady uprawnienia do świadczeń osób, pozostałych po ubezpieczonych. Rzecz oczywista zagadnienie zakresu wypadków losowych, objętych przedmiotem ubezpieczeń społecznych może być oceniane również i z innych punktów widzenia, jak wagi gospodarczo - społecznej poszczególnych zjawisk, możności ich unormowania w sposób odmienny itd. — będą to jednak kryterja, które dedukcyjnie z poprzednio zaznaczonych wyprowadzić się dadzą.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Ubezpieczenia społeczne służą do zaspokajania potrzeb indywidualnych, które w sumie mają znaczenie publiczne. Zaspakajanie tych potrzeb polega w dużej mierze nie tylko na stosowaniu norm prawnych, nawet gdyby one były najbardziej drobiazgowe i kazuistyczne, ale przedewszystkiem na ocenie realnych faktów życiowych, na umiejętności ich zrozumienia i prawidłowego oszacowania, — to też ubezpieczena społeczne nie mogą opierać się wyłącznie o scentralizowany, choćby najdoskonalej skonstruowany aparat administracyjny, ale muszą mieć ścisłe powiązania z elementami wyrażającemi potrzeby społeczne. Im się jest bliżej (oczywiście do pewnych granic) tych różnorodnych potrzeb, również pod względem administracyjnym — tem bardziej prawidłowe wykonywanie zadań wydaje się możliwem i prawdopodobniejszem.

Stanisław Sasorski.

IDEOLOGJA „REAKCJONISTY"

Zobowiązawszy się nieopatrznie do udziału w dyskusji ubezpieczeniowej, znalazłem się w kłopocie. Nie żebym się obawiał etykietek w rodzaju „sługi kapitału", lub „obrońcy egoistycznych interesów pod przykrywką objektywizmu". Bardziej przykrą byłaby ewentualność zaliczenia mnie do sojuszników przez tych, którym moje wywody mogą sprawić przyjemność, naprawdę wbrew woli autora. Pocieszam się, że niektóre z wypowiedzianych tu poglądów zostaną i „po tamtej stronie" uznane za herezję. Prawdziwy kłopot zaczyna się od przeczytania w 2-m n-rze „Gospodarki" otwierającego dyskusję artykułu prof. dra Jana Łazowskiego.

Prof. Łazowski rozróżnia dwie grupy argumentów, wysuwanych przeciw dzisiejszemu stanowi albo zamiarowi rozbudowy ubezpieczeń społecznych. Te z nich, które kwestjonują samą celowość ubezpieczeń, „powinny być już raz wreszcie wycofane z obiegu", bowiem polegają bądź na nieporozumieniach, bądź na obłudzie. Te zaś, które starają się wykazać w ubezpieczeniach przerosty, zasługują na dyskusję, byle się ona odbywała „we właściwem świetle", t. zn. w świetle naukowego

poznania kalkulacji kosztów produkcji, funkcjonowania aparatu ubezpieczeniowego i kosztów tego aparatu. Autor słusznie stwierdza, że takich naukowych opracowań nie mamy, można zaś dodać, że wypełnienie tej luki nie może być wykonane na poczekaniu. „A bez naukowego zbadania problemu, tworzenie koncepcyj uzdrawiających musi zaprowadzić na manowce". Ładne widoki dla rewizjonistów!

Na ratunek przychodzi refleksja, że koncepcje uszczęśliwienia Polski dzisiejszym systemem ubezpieczeń powstały właśnie w tych samych warunkach niezbadanej naukowo rzeczywistości, a zatem „musiały" zaprowadzić nas na manowce. Można też zauważyć, że tylko w wyjątkowych fragmentach polityka gospodarcza lub społeczna może się oprzeć na naukowem zbadaniu rzeczywistości, a i wówczas rzadko z okazji korzysta. Nie znaczy to, by się miała nie posługiwać sądami o rzeczywistości. Doceniam doniosłość badań naukowych i nie nazwałbym „przerostem" ekonomicznego ich dokonania przez zainteresowane instytucje. Zanim to jednak nastąpi, nie możemy prób grubej orjentacji zawiesić na kołku.

Ilościowe argumenty o obciążeniu gospodarstwa narodowego, jak wszelkie inne argumenty gospodarcze, mogą i wówczas, gdy nie mają pretensji do wartości naukowej, mieć wartość nietylko „publicystyczną", ale przedewszystkiem polityczną. Nie możemy utrzymywać, że o niewyczerpanych przez badania naukowe dziedzinach życia nic zgoła nie wiemy. Stwierdzenie przez prof Łazowskiego, że „W krajach, gdzie nie wprowadzono ubezpieczeń społecznych, albo w ograniczonym zakresie, koszty opieki społecznej są b. znaczne" jest ujęciem ilościowem, dalekiem od pretensji do wartości naukowej, a przecież coś mówi. Gdybym napisał, że obciążenia społeczne stanowią przeciętnie np. 20 proc. kosztów własnych, prof Łazowski nie omieszkałby wytknąć mi błędu, nie czekając na badania naukowe. Podobnie, gdy dr. Duch (w pracy „Ubezpieczenia społeczne", Warszawa, 1934) napisał, że „robocizna, to zaledwie drobny ułamek kosztów produkcji, obracający się w granicach od 8 do 20 proc. ogólnych kosztów wytwórczości", dla uznania nieścisłości tego sądu wystarczy umiarkowana znajomość życia gospodarczego.

Odpowiedź na pytanie, czy istnienie ubezpieczeń społecznych wogóle, albo pewnego rodzaju ubezpieczenia, jest dla społeczeństwa korzystne, wymaga nieodzownie porównania sumy korzyści i sumy strat, choćby ich ocena mogła być tylko gruba i w znacznej mierze dowolna. Bez tego porównania niepodobna uzasadnić nietylko odpowiedzi negatywnej, ale także i pozytywnej.

Korzyści istnienia ubezpieczeń polegać powinny na wypełnieniu powierzonych im celów. Artykuł p. Henryka Greniewskiego pt. „Problematyka Ubezpieczeń Społecznych" („Gospodarka Narodowa" nr. 2) przynosi znakomicie treściwe i przejrzyste, a przecież bodaj wyczerpujące zestawienie celów, którym ubezpieczenia społeczne mogą służyć. Rozpatrzmy je kolejno.

„(1) Zaspokojenie, chociażby tylko częściowe, w stopniu minimalnym pewnych potrzeb społecznych, powstających naskutek realizacji pewnych zjawisk losowych lub w przybliżeniu losowych". Istnienie takich potrzeb jest oczywiste, dodać też należy, że i przy nieistnieniu ubezpieczeń są one „częściowo, i w stopniu minimalnym" zaspokojone przez opiekę społeczną i filantropijną. Ubezpieczenia również nie są w stanie objąć wszystkich potrzeb, albo przeważnej części potrzebujących, ale zato dla niektórych potrzeb i niektórych grup ludności starają się o całkowite, bynajmniej nie „w stopniu minimalnym" wyrównanie skutków zjawisk losowych „lub w przybliżeniu losowych".

„(2) Zorganizowanie przymusowej kapitalizacji pieniężnej". Ten cel jest oczywiście realizowany przez ubezpieczenia, ale jest to jedyny z czterech celów, wymienionych przez p. Greniewskiego, którego zgodność z dobrem publicznem jest wysoce problematyczna, a w każdym razie — sporna. Dyskusja o potrzebie lub szkodliwości przymusowej kapitalizacji pieniężnej wykraczałaby poza ramy niniejszych rozważań.

„(3) Powiązanie interesów materjalnych społecznej warstwy ubezpieczonych z losami państwa". Sądzę, że cel ten gdzieniegdzie daje się osiągnąć, z drugiej jednak strony ubezpieczenia powodują dużą niechęć pod adresem państwa i to w części także wśród ubezpieczonych. Nie wiem, czy per saldo efekt psychiczny jest dodatni, czy ujemny, w każdym razie nie jest on znaczny.

„(4) Prowadzenie konsekwentnej polityki populacyjnej". Temu celowi niektóre ubezpieczenia sprzyjają (nie biorąc, narazie, pod uwagę pośredniego skutku ujemnego kosztów ubezpieczeń, o czem niżej), jednak dopóki ubezpieczenia obejmują drobną część ludności, a założenia polskiej „konsekwentnej polityki populacyjnej" są nieznane, trudno mówić o wielkiej doniosłości efektu. Sam p. Greniewski stwierdza, że doniosłe skutki dałaby dopiero forma, która właśnie w Polsce nie gra dotąd większej roli.

Teraz przejdźmy do drugiej strony medalu. Rzeczywiście, wielką niedogodność stanowi brak dostatecznych danych o tem, jak się przedstawia udział ciężaru ubezpieczeń w kosztach własnych ogółu przedsiębiorstw. W tych warunkach szczegółowa analiza bezpośredniego i pośredniego udziału kosztów ubezpieczeń w cenach poszczególnych towarów mogłaby się spotkać z zarzutem dowolności. O obciążeniu całości życia gospodarczego możemy jednak sądzić z budżetów instytucyj ubezpieczeń społecznych. Łączna suma dochodów, wzięta od społeczeństwa, wyniosła w latach 1930, 1931 i 1932 kolejno 647 milj. zł., 572 i 482 milj. zł. Nie mam pod ręką wyników 1933 i 1934 r., zapewne jeszcze niższych, ale też słyszymy, ze strony fachowców, że dzisiejsze wpływy nie zapewniają przyszłego utrzymania zdolności świadczeń i przy poprawie konjunktury powinny być zwiększone. Wypompowane setki miljonów nie są, oczywiście, bezpowrotnie stracone dla gospodarstwa narodowego, zupełnie analogicznie, jak nie są stracone pieniądze, przeprowadzone

przez budżety państwowe lub komunalne. Właśnie ze względu na powyższą analogję, wolno zauważyć, że gdyby chodziło o nałożenie państwowego podatku w sumie 300 czy 400 miljn. zł., oczywistość trudności podźwignięcia takiego ciężaru nie byłaby bodaj podawaną w wątpliwość. Z powodu tej właśnie trudności, deficyt stukilkudziesięciu miljonów zł. nie może być pokryty przez zwiększenie wpływów. W żadnym więc razie niepodobna się zgodzić, jakoby obciążenie ubezpieczeniowe było bagatelą bez znaczenia dla kalkulacji, przeciwnie, musimy przyjąć, że stanowi ono poważny element kosztów własnych.

Mając teraz do porównania korzyści, polegające głównie na realizacji celu (1) w stosunku do kilkunastu procentów ludności Polski ze szkodą, płynącą z poważnego, chociaż trudnego do ścisłego oznaczenia liczbowego podrożenia procesów gospodarczych, poszukajmy sposobu rozstrzygnięcia, co ważniejsze.

Stan gospodarczy Polski najlepiej oddaje słowo: nędza. Dochód społeczny przechodzący przez rynek wyniósł w 1933 r.według obliczeń pp. Kaleckiego i Landaua[1]) około 270 zł. na głowę ludności (przeciętnie!), rocznie co stanowiłoby 22 zł. 50 gr. miesięcznie.

Nikły dochód na głowę wynika z przeludnienia i braku kapitału. Z rosnącem zaludnieniem musimy się nadal liczyć, jeżeli więc dochody na głowę nie mają spadać, musimy wytworzyć kapitał. Niema innego sposobu kapitalizowania, jak obracanie na środki produkcji nieskonsumowanej części dochodu. Gdy jednak dochód przeważnej części ludności nie wystarcza na skromne zaspokojenie elementarnych potrzeb, wówczas cząstka przeznaczona na kapitalizację może być mniejsza od równoczesnego zniszczenia kapitałów już posiadanych. Taka dekapitalizacja musiałaby pogłębiać pauperyzację, stanowiąc dla narodu i państwa linję ewolucyjną wdół, ku gorszemu. Stała tendencja (trend) kapitalizacji w Polsce jest zagadnieniem spornem. Prawdopodobnie w czasie kryzysu mamy do czynienia z dekapitalizacją, przy lepszej konjunkturze z kapitalizacją, przyjmując, że ostateczne saldo jest dodatnie, niepodobna się spodziewać by tempo przyrostu kapitałów odpowiadało przynajmniej tempu przyrostu ludności. Od uzyskania wyższego tempa kapitalizacji ponad tempo przyrostu ludności zależy nasza przyszłość.

Zwiększyć kapitalizację może wzrost produkcji, albo spadek spożycia, z tem zastrzeżeniem, że spadek spożycia w pewnych warunkach powoduje spadek produkcji więc pośrednio może obniżyć kapitalizację. Kapitalizacja przymusowa ma tę właśnie wadę, że nie liczy się z wywoływanemi przez się trudnościami produkcj, nadto, że kieruje powstające kapitały niekoniecznie tam. gdzie miałyby największą szansę mnożenia się. Wątpię, by zwolennicy ubezpieczeń propagowali dalsze zmniejszanie konsumcji, zapewne zatem zgodzimy się, że droga do kapitalizacji musi w Polsce prowadzić przez wzrost wytwórczości. Pozorne błędne koło wynikające z uzależnienia kapitalizacji od produkcji, hamowanej zkolei przez brak kapitału, nie jest zupełne. Istnieje jeszcze możliwość lepszego wyzyskania istniejących kapitałów stałych, zastąpienia części kapitału przez większy nakład pracy, przyśpieszenia obrotów kapitałów płynnych. Jeśli uzyskane nadwyżki będą lokowane najbardziej rentownie, będą się rozrastały, ułatwiając dalszą kapitalizację.

W każdym razie jest to zadanie trudne, bardzo trudne. Wymaga wyrzeczenia się na długo jeszcze przesunięć w podziale dochodu społecznego na korzyść spożycia, wymaga nadto mobilizacji *wszystkich* czynników, mogących ułatwić rozwój produkcji. Skuteczną ku temu drogą jest uzyskanie konkurencyjności przez nasze towary na rynkach światowych. Wszystko, co podraża towar osłabia jego zdolność konkurencyjną. Dlatego *obciążenia ubezpieczeniowe nie sprzyjają dodatniemu kierunkowi ewolucji gospodarczej Polski.*

Rozpatrzmy powszechnie wysuwane argumenty przeciwko postawionej tezie.

1) Znaczenie konkurencyjności zanika wobec zaniku handlu międzynarodowego. Hipoteza ustania obrotów międzynarodowych jest bardzo mało uzasadniona, a kurczenie się tych obrotów, narazie ustało. Nie należy przytem mieszać spadku wartości obrotów, wynikającego ze spadku cen. utożsamiać ze spadkiem samych obrotów. Nawet przy dalszym spadku obrotów możliwe jest zwiększenie obrotów poszczególnego kraju (Japonja). Gdyby, pomimo. wszystko, nadeszła konieczność zamknięcia się na rynku wewnętrznym, budowanie dobrobytu stałoby się o wiele trudniejsze, ale też wówczas obracanie możliwie wszystkich sił, na zwiększanie dochodu stałoby się tem konieczniejsze, a ich rozpraszanie na inne, chociażby bardzo pozytywne cele — tem szkodliwsze.

2) Przy dzisiejszych formach wymiany międzynarodowej nie decyduje cena towaru, ale technika i taktyka polityki handlowej oraz siła dumpingu. To złudzenie polega na braku perspektywy. Jeśli obserwujemy dłuższe okresy czasu i ogół towarów i usług wymienianych, zawsze okaże się, że istotnie decydującym czynnikiem pozostaje zdolność konkurencyjna wynikająca ze sprawności procesów gospodarczych. Nadto, nie chodzi tu o eksport deficytowy, a wyłącznie o rentowny.

3) Program, oparty o uzyskanie konkurencyjności na rynkach światowych jest utopją, ponieważ wskutek drożyzny kapitału i trudności powstawania, przy ciasnym rynku wewnętrznym, kolosów oszczędzających koszty, w każdym razie musimy produkować drożej niż zagranica. Zwolennicy tego defetystycznego poglądu zapominają zazwyczaj, że dzisiejsze ceny światowe są nie do utrzymania także dla ogółu konkurentów, nadto, że dzisiejsze koszty procesów gospodarczych w Polsce są wydatnie podnoszone przez liczne czynniki, dające się usunąć, z prohibicją celną i drożyzną surowców na

———————

[1]) „Dochód społeczny w Polsce".

czele. Drożyzna kapitału musi być zrównoważona przez taniość pracy, taniość administracji, oszczędność w obciążeniach.

4) *Są, poza ubezpieczeniami, liczne inne czynniki, obciążające koszty własne przedsiębiorstw.* To stwierdzenie jest oczywiście słuszne. Wnioskiem z niego nie może jednak być: wyeliminujcie te wszystkie inne czynniki, a zostawcie ubezpieczenia w spokoju, dopóki niema pewności, czy to by wystarczyło. Raczej można utrzymywać, że gdy się ma jakiś wielki cel do osiągnięcia, cel, który musi być osiągnięty, to się mu poddaje wszystkie inne cele, idzie się na wszelkie ofiary. Społecznik, który powiada, że nie należy oszczędzać na ubezpieczeniach, bo ta jedna pozycja nie decyduje o konkurencyjności, popełnia ten sam błąd logiczny, chociaż w imię wyższego celu, co kapitalista, który broni marnotrawstwa administracyjnego argumentem, że administracja stanowi niewielki ułamek kosztów własnych. Tylko przy powszechnem zrozumieniu hierarchji celów można wywrzeć dostateczny nacisk na każdą grupę, która nie zechce zrezygnować z postulatów sprzecznych z celem naczelnym. Równoczesność ustępstw ułatwia je nietylko psychicznie: tak np. obniżenie budżetów (nietylko ubezpieczeniowych) ułatwia producentom zniesienie obniżenia taryfy celnej, a wynikające stąd potanienie towarów stanowi pewną rekompensatę dla świata pracy. Największą jednak rekompensatę musi stanowić rozwój produkcji, który pozwoli każdemu znaleść zarobek i pewność, że dobrobyt ogólny ma tendencję wzrostu.

5) *Rozumowanie gospodarcze musi ustąpić przed pewnemi elementarnemi potrzebami społecznemi.* Tak np. mówi się niekiedy, że wobec faktu choroby, wobec człowieka bez środków do życia, ratunek staje się konieczny, czy się tego chce, czy nie chce. Jak już jednak wspomniałem, pewnym jaskrawym wypadkom zapobiegano i przedtem, zanim powstały ubezpieczenia społeczne, a na zapobieżenie całemu ogromowi nieszczęść nie wystarczy żaden system ubezpieczeń, które by gospodarstwo społeczne naszego kraju mogło unieść bodaj przez lat kilka.

Chodzi więc o litościwe rozszerzenie ratunku na grupę pracowników najemnych. Wystarczy przyjrzeć się poziomowi życia na naszych ziemiach wschodnich i na Podkarpaciu, zobaczyć dzieci blade, z wydętemi brzuszkami (skutek wyłącznego żywienia kartoflami), posłyszeć ludzi domagających się jednej tylko rzeczy — nieco soli, „bo pokrzywa bez soli bardzo niedobra", poznać zazdrość z jaką ludność pewnych okolic patrzy na bezrobotnych, zatrudnianych przez Fundusz Pracy, aby się przekonać, że nadal istnieją i w niemałych rozmiarach objawy conajmniej równie ostre, jak te, którym zapobiegają ubezpieczenia. Ogarnięcie mas wiejskich przez ubezpieczenia byłoby zupełnie logiczną konsekwencją dzisiejszego systemu socjalnego, ale wymagałoby dalszych setek miljonów, niwecząc zupełnie możliwość choćby stopniowego podnoszenia się dobrobytu. Tylko zaś wzrost dobro bytu, zażegnanie nędzy, stanowić będzie lekarstwo, działające powszechnie.

Droga, której nieudolną obronę starałem się przeprowadzić, nie nęci urokiem. Wymaga nietylko złamania egoizmów jednostek, które wyzyskują swą przewagę gospodarczą dla przewłaszczenia dochodów, wyprodukowanych przez innych (kartele), ale także rezygnacji z bardzo szczytnych celów, o ile ich realizacja jest sprzeczna z kierunkiem drogi. W zakresie ubezpieczeń społecznych wymaga w każdym razie dalszej redukcji obciążeń i, co może ważniejsze, wyrzeczenia się na dłuższy przeciąg czasu, nawet na czas ożywienia gospodarczego, dalszej rozbudowy. Wskazywanie recept reorganizacyjnych nie mieści się w ramach podjętego tematu. Na korzyść naszkicowanej drogi wydaje mi się przemawiać jedna okoliczność: *niema innej.*

Józef Poniatowski.

UWAGI

NA ZAKOŃCZENIE

Po kolejnem omówieniu szeregu zagadnień, związanych z warunkami rozwoju handlu morskiego w Polsce, pragnę zatrzymać się na jednem jeszcze, ostatniem. Jest niem sprawa właściwych *form organizacyjnych* współpracy czynników, którym leży na sercu rozwój tego handlu. Czynniki te są trojakiego rodzaju: t. zw. „bezpośrednio zainteresowani" — kupcy, maklerzy, armatorowie etc., zorganizowani lub nie; czynnik publiczny, reprezentowany przez władze państwowe i samorząd gospodarczy i terytorjalny; wreszcie czynnik społeczny, skupiony w organizacjach, mających na celu naszą ekspansję morską, jak Liga Morska i Kolonjalna, Instytut Bałtycki i inne.

Różne są oczywiście płaszczyzny styczne współpracy tych czynników, różny głos, który im przy rozstrzyganiu poszczególnych spraw przyznać należy, ale pewne jest, iż najściślejsza współpraca i przekonanie, że każdy z nich ma coś pożytecznego do powiedzenia, mogą tylko korzyść przynieść. Trudno powiedzieć, czy i w jakim stopniu pogląd ten przyjął się na terenie owych trzech czynników, ale stwierdzić można, że trwałe formy współpracy wcale jeszcze nie zostały stworzone.

Zacznijmy od kapitalnego przykładu — administracji portu gdyńskiego. Port gdyński administrowany jest dotychczas bezpośrednio przez Państwo. Budżet portu nie jest wydzielony z budżetu państwowego, udział czynnika pozapaństwowego reprezentowany jest przez Tymczasową Radę Portu. Już samo słowo „tymczasowa" podkreślane zresztą szeregiem enuncjacyj i projektów ze strony czynników miarodajnych, wskazują, że obecna

forma administracji jest przejściowa. Najróżnorodniejsze są teorje, a jeszcze różnorodniejsze rozwiązania praktyczne administracji portów, jedno wszakże wydaje się pewne, mianowicie, że autonomizacja administracji portowej, oparta na własnym, wydzielonym, a subsydjowanym budżecie jest najpowszechniej przyjętem i dającem najlepsze rezultaty rozwiązaniem. Nie o słowo tutaj idzie, gdyż jedni chcą port gdyński zautonomizować, inni używają skromniejszego słowa — komercjalizacja, ale o treść.

Treścią także, a nie formą powinien być wpływ „interesantów" (cóż za słowo haniebne!) na administrację portu.

Zastrzegam się tutaj zgóry przeciwko zbyt łatwemu wnioskowi, jakoby obecna administracja nie stała na wysokości zadania. Wprost przeciwnie. Są jednakże inercyjne momenty obecnej organizacji, które utrudniają jej działanie. Weźmy rzucający się w oczy przykład:

Akwizycja ładunków. Broszury propagandowe o Gdyni istnieją dobre i ciekawe, lecz jakie porównanie z mnogością wydawnictw Antwerpji czy Rotterdamu, które przecież nie są portami na dorobku. Czego nie umie zdziałać zespół środków polityczno - handlowych, to często gładko pójdzie umiejętnemu akwizytorowi. Aby takiego akwizytora mieć, trzeba go móc zainteresować po kupiecku. Jakże to uczynić w ramach niewydzielonego budżetu?

Sprawa autonomji opłat portowych, od kilku zaledwie miesięcy poruszona i ciągle jeszcze niewystarczająco uregulowana. Sprawa pozyskania kapitału na dalszą budowę magazynów i innych urządzeń eksploatacyjnych, sprawa organizacji przeładunkowej w zarządzie władz portowych — wszystko to są kwestje, których pełne rozwiązanie uzależnione jest od zmiany organizacji.

Udział portów w administracji powinien być zrealizowany w znacznie pełniejszej niż dotychczas postaci. Rada portu nie powinna być tylko organem doradczym, powinna mieć przynajmniej kompetencje rady nadzorczej byle spółki, a również i odpowiedzialność takiej rady. Dodać tutaj nawiasem należy, że często, mniej lub więcej jawnie formułowany, (niekoniecznie zresztą przy sprawie dopuszczenia użytkowników do administracji), zarzut — jakoby część znaczna sfer gospodarczych w Gdyni nie stała na poziomie, wykluczającym wyłącznie egoistyczne podejście do zagadnień ogólnych, o tyle mija się z celem, że nigdy jeszcze nie wychowano żadnej grupy społecznej lub gospodarczej przez trzymanie jej zdala od spraw, których powina być podmiotem a nie objektem działania.

Weźmy teraz inną sferę zagadnień. Praca nad urobieniem w społeczeństwie ducha morskiego, prowadzona przez Instytut Bałtycki w formie akcji wydawniczej, czy przez Ligę Morską w formie odczytowej, lub w drodze odosobnionych wysiłków pionierskich — znajduje niestety dość słabe echo. Samo stwierdzenie obojętności społeczeństwa nie wystarcza, istnieje jeszcze jakiś błąd, jakaś wada zasadnicza. Błędu tego dopatruję się w braku koordynacji tych wysiłków, w braku stałego, regularnego kontaktu pomiędzy trzema czynnikami, zainteresowanemi w ekspansji morskiej, w szczególności zaś w niedostatecznem zainteresowaniu czynnika gospodarczego. Brak tego kontaktu sprawia, że wiele w innych warunkach pożytecznej inicjatywy, a nawet wiele wysiłków, rozpływa się w obawie dublowania.

Inna jeszcze okoliczność na tem tle musi być podkreślona. Jest nią pewna wstrzemięźliwość kierunków samej polityki morskiej w ujawnianiu planów tej polityki. Ministrowie Przemysłu i Handlu, główni kierownicy polityki morskiej, z natury swgo stanowiska i w powodzi innych zagadnień mogą stosunkowo skromne tylko miejsce w swych enuncjacjach poświęcić sprawom morskim. Nie mówiąc o tem, że są audytorja bardzo tych zagadnień ciekawe, które jednakże zapoznanie się z enuncjacjami samego ministra mają utrudnione. Rozumiem satysfakcję polegającą na milczeniu o zamiarach z jednej, a wymowie cyfr po ich realizacji z drugiej strony, a wiemy wszyscy, że tę satysfakcję kierownicy naszej polityki morskiej mają. Czy jednakże dla pobudzenia społeczeństwa do wspólnego wysiłku nie warto odsłonić perspektywy przyszłości? Boć człowiek taki już jest, że upaja się przyszłością, a na wykonaną pracę patrzy ze znudzeniem. Czy zatem szeroko narysowany program dalszego rozwoju polskiego handlu morskiego nie powinien być z miarodajnej strony objawiony?

Mówię o programie handlu morskiego, gdyż wierzę, że właśnie handel jest osią zagadnienia Jeśli drogi jego rozwoju zostaną wytknięte — wiele zagadnień morskich, co do których dzisiaj trudno nam mieć urobione zdanie, rostrzygną się same przez się. Nie będziemy wtedy prowadzili akademickich dyskusyj, czy Polsce potrzebne są kolonje czy też nie, nie będziemy się zastanawiali, na co właściwie zda się naszemu krajowi marynarka wojenna, bo będziemy wiedzieli, że kolonje są bazą operacyjną penetracji handlowej, a marynarka wojenna służy do obrony dróg handlowych.

A. Marchwiński.

SZKOLNICTWO ZAWODOWE

Nie sposób w krótkiej notatce wyczerpać istotę problemu szkolnictwa zawodowego w Polsce. To, co czytelnik znajdzie poniżej, będzie jedynie garścią uwag i refleksyj, jakgdyby zaznaczeniem na marginesie liczb i faktów.

Zacznijmy od liczb, od statystyki. „Mały Rocznik Statystyczny" (1934 r. str. 173 i nast.) podaje, że w szkołach i na kursach zawodowych, w szkołach zawodowych dokształcających i w ludowych szkołach rolniczych, których w r. 1932 — 33 było w sumie 1.555, nauczało 14.489 nauczycieli, uczyło się zaś 159,5 tys.: uczniów i uczenic. Jeżeli się zważy, iż w szkołach powszechnych liczono wówczas 4,5 miljona dzieci, że szkoły średnie ogólnokształcące skupiały 187 tys. i że w szkolnictwie wyższem było 52 tys. młodzieży — to owe niespełna 160 tys. słuchaczów szkół i kursów zawodowych jest liczbą b. skromną i niepokojącą. Niepokój ten płynie przedewszystkiem z faktu, że ze szkół powszechnych do zawodowych przesącza się tylko 1/30-ta wychowanków, następnie zaś podsyca go porównanie

160.000 uczniów w szkołach zawodowych ze 187.000 uczniów w szkołach średnich ogólnokształcących, które zkolei blisko 1/3 swej „produkcji“ oddają wyższym uczelniom, również ogólnokształcącym.

Ten przerost uniwersalizmu kosztem fachowej specjalizacji, to zwycięstwo encyklopedycznego wychowania nad umiejętnością zawodową nie są funkcją jedynie stosunku liczbowego. Poziom, kierunek i t. zw. nastawienie naszego szkolnictwa nie prowadzą do pocieszających wniosków. Czy można bowiem mówić o właściwym kierunku szkolnictwa zawodowego, jeżeli na wyższych szkołach rolniczych w r. 1932 — 33 uczyło się 2,7 tys. młodzieży, podczas, gdy rolnicze wydziały szkół i kursów zawodowych oraz ludowe szkoły rolnicze skupiały zaledwie 6,3 tys. słuchaczów — i to w kraju, uchodzącym za kraj: 1-o rolniczy, a 2-o drobnej i średniej własności rolnej?... Czy uznamy za dodatni objaw, jeżeli na 33 tys. słuchaczów przemysłowych i rzemieślniczych szkół i kursów zawodowych, aż 13 tys. uczyło się w dziale odzieżowym, ściślej mówiąc — krawieczyźnie i bieliźniarstwie, t. j. tych dziedzinach, do których po linji najmniejszego oporu dąży młodzież niemal wyłącznie — żeńska, wytwarzając olbrzymie kadry chałupnicze?... Czy jest rzeczą korzystną, iż wspomniany przed chwilą typ szkół i kursów liczy więcej słuchaczów, aniżeli typ metalowy i maszynowy?... Czy to wszystko świadczy, że nasza polityka w zakresie szkolnictwa zawodowego jest skoordynowana z polityką gospodarczą, mającą na celu podniesienia poziomu rolnictwa i uprzemysłowienie kraju?...

Ale na tem nie koniec. Znawcy przedmiotu twierdzą, że kto wie,czy mała frekwencja w szkołach zawodowych nie wyjdzie społeczeństwu na dobre, skoro poziom tych szkół jest rozpaczliwie niski, czego dowodem jest — bynajmniej nie tradycyjna — niechęć tych „od warsztatu“ do tych „ze szkoły“. Rolnicy, gospodarujący na swojem, rzemieślnicy, a nawet fabrykanci niechętnie korzystają z wiedzy fachowej wychowanków szkół i kursów zawodowych (zwłaszcza szkół, bo kursy są bliższe życiu). Kieruje niemi stosunkowo uzasadniona obawa tak przed teoretyzowaniem, jak i przed nadmiernemi wymaganiami młodzieży. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę, że młodzież ta w dużym stopniu żyje w warunkach izolowanych, idealistycznych i wyrozumowanych, przez co albo rości sobie w następstwie pretensje do Bóg wie jakich zaszczytów, posad i uposażeń, albo uważa się za ludzi, ulepionych z lepszej gliny, albo — co najważniejsza — ma b. szczupłą znajomość rzeczywistości. Szkoły zawodowe potrafią nauczyć techniki produkcji, ale nie uczą techniki zakupu i sprzedaży. W szkołach dokształcających zawodowych wykładana i wymagana jest nauka religji, ale niema nauki kalkulacji; uczą Konstytucji (czemu nie?), ale nie uczą prawa przemysłowego i o samorządzie gospodarczym; mówią o historji Polski za króla Ćwieczka, ale przemilczają naszą strukturę ekonomiczną. W rezultacie ze szkół zawodowych wychodzi młodzież, która jakgdyby przeszła ponownie kurs szkoły powszechnej, ale z prawdziwą nauką zawodu nie wiele ma wspólnego. Są — rzecz prosta — wyjątki od tej uniwersalistycznej reguły, ale i te wyjątki potrafią dojść do absurdu, jakim była w r. ub. jedna ze szkół mechaniczno - maszynowych, która swoich licznych wychowanków wykształciła w miejętności produkowania... pomp parowych i ręcznych — i nic pozatem. Natomiast specjalistów ceramików, konstruktorów narzędzi, znawców wyrobów precyzyjnych, fachowców od produkcji konserw itp. (wyliczenie — rozumie się — niekompletne) można policzyć na palcach. Skutek: zatrudnianie cudzoziemców i przywóz wielu artykułów, które opłacałoby się wyrabiać w kraju (np. narzędzia).

Słaby kontakt nauki zawodowej z życiem nie ogranicza się, niestety, do szkolnictwa niższego i średniego. Wystarczy przypomnieć, że w r. ak. 1932 — 33 na 52 tys. słuchaczów wyższych uczelni nauki handlowe miały tylko 3,5 tys. (7%), że w szkołach politechnicznych było zaledwie 7,7 tys. młodzieży (15%), i że w poprzednim roku ukończyło politechniki raptem 679 wychowanków czyli 9% ogółu absolwentów szkół wyższych. Przyczyna tego b. prosta: nasze politechniki (warszawska zaś przedewszystkiem) robią wszystko, co mogą, by ze studenta zrobić mędrca, naukowca, technicznego rabina, profesora; stąd nie jest dziełem przypad, że — jak informuje tenże „Mały Rocznik Statystyczny“ — 44% dyplomów politechnicznych wydano dopiero po 9 latach studjów. Nawet medycyna nie jest tak wysoko postawiona (i to chwała Bogu!), gdyż tam 9-cio letni okres studjów odnosi się tylko do 1/4 absolwentów. A rezultat nie każe na siebie długo czekać: jak oświadczył niedawno min. Butkiewicz, napróżno szukał on inżynierów - mechaników. Nie znalazł żadnego, gdyż podaż tej kategorji inżynierów jest znikoma, ponieważ od inżyniera - mechanika wymaga się najwięcej, a jego przeszkolenie naukowe zbliża się do scholastyki matematycznej.

„Źle się dzieje w państwie duńskiem“ — to w danym wypadku bynajmniej nie frazes. W szkolnictwie zawodowem od najniższych do najwyższych szczebli brakuje ducha współczesności i prostego zrozumienia kontaktu z życiem. W obliczu zaś kryzysu każda szpara w gmachu nauki zawodowej urasta do niebezpiecznych rozmiarów.

j. gozd.

STANISŁAW SKWARCZYŃSKI

PRZELUDNIENIE WSI

Przeludnienie wsi jest klęską nie rolnictwa, ale całego społeczeństwa. Osłabienie jego szkodliwego działania może być przeprowadzone w ramach polityki rolnej, zlikwidowanie zaś — tylko w obrębie polityki ogólno-gospodarczej.

Stało się truizmem, że sprawa przeludnienia wsi jest największą jej bolączką. Silniejsza, niż innych warstw społecznych, rozrodczość ludności rolniczej, przy braku odpływu części jej przyrostu do innych środowisk, stwarza ogromnie trudne warunki bytowania. Stan ten groźny w wielu częściach Polski już przed wojną, stał się groźniejszy w ostatnich latach z powodu wstrzymania emigracji zarobkowej, zastoju w przemyśle, ciężkiej sytuacji gospodarczej, dzięki której nawet ten drobny odsetek ludności wiejskiej zasilający warstwę miejskiej inteligencji, wskutek braku warunków kształcenia się, pozostaje na wsi.

Przeludnienie wsi, a więc nagromadzenie się nadmiaru pracy w stosunku do możliwości jej wykorzystania, nie jest tylko zagadnieniem gospodarczem, ujętem jako „marnowanie sił roboczych". Ciągłe zagęszczanie się ludności rolniczej, która nie ma wyboru pracy, powoduje, że nowe pokolenie młodzieży wiejskiej, wchodzące w życie, w większym niż przed wojną procencie musi pozostać w swej wsi rodzinnej, dzieląc z rodzeństwem ojczysty kawałek ziemi. Jeżeli pracę ujmiemy nietylko jako funkcję gospodarczą, przysparzającą dóbr materjalnych, ale będziemy w niej widzieć siłę twórczą, będącą u podstaw każdej silniejszej i bardziej ambitnej jednostki ludzkiej, to brak pola do pracy na wsi obejmować zacznie swem szkodliwem oddziaływaniem znacznie szersze kręgi.

Musimy sobie uprzytomnić, że klęska przeludnienia wsi wystąpiła ze zwiększonem natężeniem po wojnie, a więc równocześnie z odbudowaniem Niepodległej Rzeczypospolitej. Zmienione stosunki polityczne wniosły na wieś, w silniejszym niż przedtem stopniu, nowe prądy i nowe ideje; młoda wieś poczęła się wyzbywać apatji właściwej dla jej starszych pokoleń; coraz szersze masy młodzieży wiejskiej wyrywają się do pracy z bezwładu jakim wieś ogarnięta była w ciągu wieków, — do pracy na każdem polu przedewszystkiem na swym zagonie. Tej pracy tymczasem brak, — energja budzących się nowych sił nie może być należycie zużyta.

Wraz z postępem gospodarczym, idzie naprzód oświata i kultura. Wobec jednak stosunków panujących dziś na wsi, wieś polska nie ma w należnym jej stopniu dostępu do kultury duchowej. Wyjątkowo tylko zdobyć ją może własnemi rękoma — w większości wypadków narzucana jej jest zgóry przez akcję społeczno - oświatową, zamiast tworzyć się sama z siebie z naturalnych sił, będących u jej podstaw rozbudzonych gospodarczym postępem. Tymczasem siły te nietylko są marnowane; idące za nędzą materjalną choroby, degeneracja fizyczna, rozprężenie charakterów i woli niszczą je, wysuszając ich najbardziej żywotne źródła.

Brak pracy na wsi, odsuwając straty, jakie ponosi całość gospodarstwa narodowego przez zmniejszenie dochodu społecznego jest zagadnieniem społecznem, kulturalnem, a nawet moralnem. Dziś decyduje ono o obliczu Polski, która przyjdzie — formuje jej byt narodowy — w nędzy, w chorobach i w głodzie.

U podstaw bezrobocia wsi są zagadnienia gospodarcze i od ich rozwiązania zależeć będzie dalszy rozwój wsi polskiej. Od usunięcia przeszkód materjalnych zależy rozbudzenie się prężności jej na polu oświatowem i kulturalnem. Wszelkie poczynania w tym kierunku nie mogą dawać wielkich wyników, jeżeli trafiać będą w środowiska nędzy, — w środowiska, gdzie możliwości wydobycia się z niej są niewspółmierne do wysiłku woli i pracy, jakie na ten cel muszą być użyte. W polu działania ekonomisty zdają się leżeć te środki, któremi stworzyć można takie warunki pracy i dobrobytu by ludność rolnicza przestała być „wielkim niemową", ale by stała się siłą twórczą, dającą siebie społeczeństwu i państwu, a nie biorącą rzucane ochłapy. Ale taką siłą nie może być z żołądkiem pustym, lub w najlepszym razie wypchanym nieokraszonemi ziemniakami.

Przeludnienie wsi uzewnętrznia się najbardziej drastycznie w formie bezrobocia ludności rolniczej. Różni się ono zasadniczo od bezrobocia w ośrodkach miejskich. Składa się na to szereg istotnych momentów różniących pracę na roli, od pracy w wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych. Bezrobocie wiejskie — to z jednej strony zmniejszenie się możliwości uzyskania pracy przez zawodową służbę folwarczną, z drugiej strony obejmuje ono ludność wiejską posiadającą własne warsztaty pracy. Bezrobocie służby folwarcznej przypomina swym charakterem stosunki miejskie, jest ono jednak szczegółem w całości zagadnienia przeludnienia wsi. Główną jego treścią natomiast jest bezrobocie ludności rolniczej osiadłej na własnych gospodarstwach. Zasadniczą cechą różniącą je od bezrobocia miejskiego jest właśnie to, że klęska ta dotyka nie najemnych robotników, ale właścicieli warsztatów i ich członków rodzin zdolnych do pracy. Istotę jego ująć można w określenie, że owe warsztaty pracy są zbyt małym objektem gospodarczym, by mogły dać odpowiednie zajęcie i dochód właścicielowi wraz z jego liczną rodziną. Ujęcie to w formie odwróconej przedstawia się jako zbyt liczne nagromadzenie rąk roboczych na jed-

nostce przestrzeni użytkowanej rolniczo. I jedno i drugie sformułowanie istoty bezrobocia wsi jest właściwem. a większą słuszność jednego z nich będzie można określić w zależności od warunków danego warsztatu, które naogół występują jednolicie w pewnych okolicach. Określenie pierwsze wskazuje na zbyt wielkie rozdrobnienie własności rolnej jako na źródło bezrobocia, drugie natomiast wysuwa na pierwszy plan silną rozrodczość ludności wiejskiej i brak jej odpływu nazewnątrz rodzinnego środowiska. Nie należy jednak również przeoczać i tego momentu, że jako „za mały" warsztat pracy musi być rozumiany względnie mały warsztat, w zależności tak od czynników zewnętrznych jakie tworzą warunki ogólno - gospodarcze, jak też od cech, jakie reprezentuje sam kierownik warsztatu, od jego pracowitości, ambicji życiowej i inicjatywy gospodarczej.

Drugą cechą istotną dla bezrobocia wiejskiego są bardzo silne wahania w sezonowości natężenia pracy na roli. Wprawdzie sezonowość występuje również i w robotach miejskich, nie występuje tam naogół tak drastycznie z dwóch względów. Po pierwsze rozpiętość wahań jest wybitnie mniejsza, po drugie — wielkość wahań w rolnictwie w okresach największego zapotrzebowania pracy t. j. podczas zbiorów przekracza bardzo często miejscową podaż rąk roboczych. Zjawisko takie ma miejsce niejednokrotnie nawet w tych okolicach, gdzie normalnie mówić można o przeludnieniu. Brak zajęcia na pełny dzień roboczy, a w każdym razie zmniejszenie zapotrzebowania pracy w okresie zimowym i w pewnych krótszych okresach czasu w ciągu roku, jest rzeczą powszechną w rolnictwie: jest ono poniekąd rekompensatą za większy wysiłek w okresie letnim. Kompletne wyrównanie natężenia pracy rolniczej w ciągu roku jest niemożliwe, ze względu na związanie jej z okresowością podstawowych gałęzi wytwórczości rolniczej.

Trzecim momentem bardzo ważnym, który przy badaniu zjawiska bezrobocia wsi nie może być przeoczony, jest okoliczność niespotykana zupełnie w ośrodkach prcay przemysłowej — jedynie częściowe zatrudnienie w ciągu dnia. Rolnik zmuszony jest nawet w okresie najmniejszego zapotrzebowania pracy do wykonywania w gospodarstwie pewnych robót, które zajmują go np. przez 2 — 3 godzin dziennie. Roboty te zresztą bardzo często spełniane są, jeśli chodzi o prace przy oborze i chlewni, przez domowników, przedewszystkiem kobiety. Bezrobocie wsi zatem, to bezrobocie częściowe, przy którem jednak pewne drobne zajęcia zawsze są konieczne. Takie jednak, które zajmują tylko nieznaczny ułamek dnia.

W stosunku zatem do tego zagadnienia niemożliwe jest stosowanie pewnej mechanicznej metody w obliczaniu dni objętych pracą. Metoda ta nie wystarcza, gdyż bodaj każdy mieszkaniec wsi choć w bardzo drobnej części dnia jest zajęty przy swym warsztacie; nie jest zatem zupełnie bez pracy. Absorbuje ona go jednak w tak znikomym stopniu, że nie może zaspokoić najbardziej żywotnych potrzeb pracującego. W tem świetle stan wywołany przeludnieniem wsi raczej zasługuje na określenie niewykorzystania sił zdolnych do pracy, niż na bezrobocie.

Również godnym uwagi czynnikiem w zagadnieniu pracy na wsi jest zajęcie przy gospodarstwie nieletnich, przyczem jednak zjawisko to musi być rozpatrzone na innej płaszczyźnie, niż praca nieletnich w ośrodkach przemysłowych. Jest bowiem cały szereg robót w gospodarstwie rolnem, które ze względu na ich charakter z pełnem powodzeniem mogą być powierzone dzieciom. Odbywać się to może tak z korzyścią dla danego gospodarstwa rolnego, jak też i z korzyścią dla nich samych. Przyuczanie do pracy rolniczej, zetknięcie się z nią od małego we własnem gospodarstwie powinno być czynnikiem dodatnim dla młodzieży. Rzecz jasna, że dzięki niewłaściwemu stosunkowi starszych do tego zagadnienia, zdarzają się nieraz wypadki wykorzystywania pracy małoletnich, wypaczając w ten sposób, wydawałoby się właściwy i naturalny stan.

Stojąc przed próbą ujęcia cyfrowego rozmiarów bezrobocia na wsi, względnie stopnia jej przeludnienia natrafiamy na pierwsze, zasadnicze trudności. Brak rejestracji sił pracujących w rolnictwie zmusza nas do przyjęcia pewnych metod szacunkowych. Punktem wyjścia może być dla nich stosunek cyfry ludności czynnej w rolnictwie do obszaru ziemi uprawnej. W tym wypadku nieodzownem jest przyjęcie jakiejś standartowej cyfry dla ilości jednostek ludzkich potrzebnych dla obrobienia jednego ha. Przyjęcie tej cyfry nie jest rzeczą prostą. Intensywność uprawy, kierunek gospodarczy, system polowy są czynnikami, od których zależą wahania tych cyfr. Pewną trudność tworzyć tu również musi sezonowe zapotrzebowanie pracy w gospodarstwie rolnem; wreszcie potrzebna jest do tego obliczenia dobra wiara w stosunku do pozycji „czynni w rolnictwie" podawanej przez Gł. U. S. Słuszną podstawą do rozważań nad przeludnieniem wsi wydają się być również kalkulacje oparte na pewnej reprezentatywnej grupie gospodarstw, dotyczące zapotrzebowania godzin pracy dla określonych zajęć gospodarskich. Również przyjęcie jako terenu badań całości gospodarstw rolnych w odpowiedniej skali typów i wielkości, może dać dobre wyniki dla scharakteryzowania omawianego stanu rzeczy.

Niezależnie jednak od stopnia wiarygodności obliczeń, przeprowadzanych taką czy inną metodą, przy stosowaniu mniej lub więcej dowolnych poprawek, próby szacowania rozmiaru bezrobocia wsi wahają się w liczbie dobrych paru miljonów. To stwierdzenie wydaje się być najbardziej istotnym rezultatem tych prac, przyjąwszy, że najbardziej precyzyjne studja nie mogą oddać w cyfrach właściwego oblicza tego zjawiska. Wydaje się, że dalsze badania prowadzone w tym kierunku nie potrafią wydobyć bardziej ścisłych wyników wobec złożonego charakteru bezrobocia wiejskiego. Z punktu widzenia polityki gospodarczej, nasuwa się uwaga, że do podjęcia pewnych zdecydowanych działań w kierunku zwalczania tej choroby społecznej nie jest nieodzownem posiadanie liczb określających ilość dotkniętych nią. W tym wypadku bowiem wystarczy stwierdzenie ogromu

klęski. Ważniejszem tutaj bezwątpienia jest posiadanie wiadomości 1) w jakim stopniu i z jaką szybkością następuje rozszerzanie się przeludnienia rolniczego, 2) jakie czynniki mogą wpłynąć na częściowe uchylenie względnie usunięcie jego fatalnych skutków.

Pod p. 1) zatem dadzą się podciągnąć przedewszystkiem wiadomości dotyczące przyrostu ludności wiejskiej. Dane te są potrzebne, powiedzmy dla jakiegoś małego programu, któryby miał na celu tylko zapobieżenie dalszemu pogłębianiu się przeludnienia. Trudniejszem, ale niezmiernie ciekawem byłoby uchwycenie w szeregach paroletnich liczb ludności wiejskiej, która opuszcza swoje środowisko przechodząc do innych zawodów. Sądzić należy, że niektóre materjały dla tego celu dałyby się uzyskać drogą pośrednią. Ważnym przyczynkiem dla zobrazowania stanu obecnego jest uchwycenie stopnia rozdrobnienia gruntów i liczby utworzenia się nowych zagród. Cyfry bowiem dotyczące ilości gospodarstw i ich wielkości, z podziałem na klasy, któremi dziś operujemy, wydają się być mocno przestarzałe i zbyt optymistyczne, jeśli się uwzględni postępy, jakie czyni rozdrabianie się gruntów i łącząca się z niem ciasnota na wsi.

Dane dotyczące wspomnianych powyżej szczegółowych zagadnień mogą do pewnego stopnia zastąpić, a w każdym razie dać bliższe objaśnienia szacunkowej cyfrze, określającej rozmiary bezrobocia ludności rolniczej. Niewątpliwie zaś mogą one posłużyć jako oparcie dla bezpośrednich poczynań w zakresie likwidowania bieżących przerostów w życiu społeczno - gospodarczem wsi.

Sprawa przeludnienia wsi i postępujący za nią jako zjawisko wtórne brak dostatecznej ilości pełnowartościowego zapotrzebowania pracy na wsi, czyli t. zw. bezrobocie ludności rolniczej, nie są problemami, których likwidacja nastąpić może w krótkim okresie czasu. Dróg ich rozwiązania musimy szukać we wszystkich możliwych kierunkach z rozmaitemi szansami osiągnięcia choćby częściowych rezultatów.

Walkę z omawianem wypaczeniem społeczno-gospodarczego rozwoju wsi polskiej prowadzić można w dwóch płaszczyznach, zresztą częściowo wzajemnie na siebie zachodzących. Pierwszą z nich jest brak możności wyzyskania zasobów pracy ludzkiej, będącej na wsi w nadmiarze, a więc będzie to walka z bezrobociem, — druga, to walka z samemi podstawami zła, — z przeludnieniem wsi. Rozgraniczenie w ten sposób celów bliższego i dalszego wydaje się ułatwiać bliższe sprecyzowanie pewnej ich hierarchiczności, zależnie od możliwości, jakie nam chwila dzisiejsza daje.

Zwalczanie objawów wtórnych, a więc bezrobocia, jest bliższem, łatwiejszem, ale niepełnem; natomiast przypuszczalnie wymagać powinno mniejszej ilości środków, przedewszystkiem dlatego, że działanie w tym kierunku nie wychodzi poza środowisko wiejskie. Na pierwszem miejscu zatem należy tu wymienić możliwości, jakie niewątpliwie przedstawia zwiększenie zapotrzebowania pracy bezpośrednio we własnem gospodarstwie rolnem. Możliwości w tym kierunku zależne zresztą od warunków miejscowych bezwątpienia są dość znaczne, aczkolwiek absolutnie nie są współmierne do skali istniejącego bezrobocia. Intensyfikacja rolnictwa przez sam fakt, że właściwe są dla niej gałęzie wytwórczości rolniczej wymagające większych nakładów pracy ludzkiej, w dużym stopniu mogłaby się przyczynić do wzmożenia zapotrzebowania pracy. Nie należy jednak przeceniać tej możliwości — trzeba się liczyć z małemi szansami powodzenia, jakie może mieć dziś propaganda w kierunku intensyfikacji gospodarstw, tak z powodu braku nawet minimalnych kapitałów obrotowych, potrzebnych do tego celu, jak też ze względu na trudności zbytu zwiększonej produkcji. Trzeba bowiem pamiętać, że warunki rynkowe wyznaczają granice możliwej intensyfikacji. Celowa bowiem intensyfikacja rolnictwa musi mieć za logiczną podstawę tendencje zwyżkowe w zakresie cen rolniczych. W okresie ich zniżki natomiast intensyfikacja podraża produkcję, prowadząc w ten sposób, przy ogólnej ciasnocie gospodarczej, do ograniczenia rynku konsumcyjnego. Dziś więc możnaby liczyć na pewne odciążenie bodaj jedynie w najbardziej ekstensywnych okręgach gospodarczych, przyczem jednak wydaje się, że byłoby ono kompensowane w pewnej mierze przez ograniczenie zapotrzebowania pracy w dotychczas intensywnych okolicach, na mocy prawa wyrównania.

Drugą możliwością jest zwiększanie względnie tworzenie warunków zarobkowania poza własnem gospodarstwem przez dostarczanie ludności wiejskiej prac o charakterze użyteczności publicznej, jak budowa dróg, meljoracje i t. p. Trzecią — mogłaby być akcja w kierunku tworzenia warunków dla pracy produkcyjnej nierolniczej, pojętej jako zajęcie (przedsiębiorstwo) uboczne, przedewszystkiem na okres zimowy. Może tu być mowa zwłaszcza o rozmaitych gałęziach przemysłu chałupniczego, który to system produkcji nie wydaje się być tak szkodliwym w środowisku wiejskiem, jak mieście. W każdym razie system ten, w obecnej chwili, mógłby przynieść wiejskim uczestnikom chałupnictwa znaczne odciążenie przy odpowiednim nadzorze i jego organizacji.

Jednak nietylko dziś, ale w sytuacji dającej się przewidywać na przeciąg najbliższych lat, suma wyników uzyskanych na powyższych terenach pracy, uprzystępnionych dla ludności wiejskiej, nie może wystarczyć bodaj nawet na zahamowanie postępu braku pracy na wsi. Mogą one jedynie go osłabić, przynosząc tem samem pewną ulgę. Wspólną ich cechą jest to, że zatrzymują one ludność rolniczą w jej dotychczasowem środowisku więc nie zmniejszają przeludnienia wsi; zwiększają jedynie źródła zarobku tej ludności, a zatem przyczyniają się do ograniczenia ostatecznego objawu przeludnienia — nędzy.

Jako dalsze metody działania, poniekąd wchodzące w istotę przeludnienia wsi, które jednak już wyrywają rolnika z jego dotychczasowego ośrodka pracy, jednak jedynie jeżeli chodzi o miejsce a nie o zawód, nasuwają się na myśl parcelacja sąsiedzka i kolonizacja wewnętrzna. Rezultaty tych akcyj, podobnie jak poprzednich, wobec zmniejsza-

jącego się zapasu ziemi, mogą być uważane tylko jako przejściowe środki, których korzystne działanie zużyć należy jako osłabiające natężenie zagadnienia, jednak bez ambicji, by mogły one je w pełni rozwiązać.

Wreszcie trzecia sfera akcji polityczno - gospodarczej, najbardziej zasadnicza i na najdłuższą metę obliczona, wykracza poza zagadnienia polityki rolnej, obejmując całość polityki gospodarczej Państwa. Zrealizowanie jej celów jest niezawodnem zlikwidowaniem przeludnionej wsi. Do tej kategorji zaliczyć należy uprzemysłowienie kraju i emigrację. Nie jest mem zadaniem na tem miejscu rozwijać możliwości, jakie polityka przemysłowa i emigracyjna ma w swych rękach i o ile mogłaby działać na korzyść uzdrowienia społeczno - gospodarczego wsi. Wydaje się być jednak rzeczą nie ulegającą żadnej wątpliwości, że tak jak przeludnienie wsi nie jest tylko zagadnieniem obchodzącem politykę rolną, ale całe państwo, tak i rozwiązanie tej kwestji może być przeprowadzone tylko w ramach polityki ogólno - gospodarczej.

NOTATKI

KEEP SMILING

Jak mówił Krukowski, „życie nie jest żaden romans, ani kodeks Boziewicza..." Istotnie — do „romansu" daleko, gdy się zajrzy do pęczniejących tomów ustaw, rozporządzeń, reskryptów, instrukcyj, okólników itp. niewątpliwie potrzebnych norm i kanonów. Ale od czasu do czasu „można się uśmiać, cały dom rozweselić", czytając te nowele, mało coprawda przypominające utwory naszych i obcych nowelistów.

Mały przykładzik: mały projekcik Urzędu Inspekcji Budowlanej m. st. Warszawy. Na podstawie art. 409 prawa budowlanego Minister Spraw Wewnętrznych będzie władny — jak sobie Urząd projektuje — zarządzić, aby w stolicy, która ma być wzorem dla całej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, nie było... dymu. Cel słuszny, szlachetny i — że tak powiemy — zdrowotny. Jest przecież warunkiem sine qua non, aby bezrobotny robotnik, którego unieruchomiona oddawna fabryka przestała zanieczyszczać powietrze Woli, Powiśla lub Pelcowizny, łykał na przechadzce balsamiczne wonie, wolne od spalin, „szkodliwych dla zdrowia publicznego".

A zatem każdy zakład przemysłowy musi zaopatrzyć swe paleniska w odpowiednie przyrządy i aparaty, czyszczące, przepłókujące, spalające, kontrolujące i t. p. Kominy za niskie będą podwyższone, przewody dymowe rozszerzone, ogrzewanie zaś budynków piecami musi być zastąpione ogrzewaniem centralnem, przyczem do tego ostatniego wolno używać tylko węgla lub drzewa, spalanego bez dymu.

Wszystko to głupstwo, bo dopiero na samym końcu projektu jest największy dowcip. § 7 mówi: „Przepisy niniejsze wchodzą w życie z dniem ogłoszenia" i dodaje, że używanie węgla lub drzewa dającego przy spalaniu dym, jest nadal dopuszczone jedynie w budowlach już istniejących, o ile nie przebudowują się lub nie nadbudowują. Tem samem wszystkie inne przeróbki, zaopatrzenie w przyrządy i aparaty, przebudowa przewodów etc. nie tylko mogą, ale muszą być i to natychmiast uskutecznione przez właścicieli fabryk, warsztatów, domów blokowych i domów pojedyńczych. Ile to będzie kosztowało i jak to będzie przeprowadzone — to już drobnostka, nad którą czcigodni inżynierowie i doktorzy nie mają obowiązku się zastanawiać.

Czy mamy zakończyć powiedzonkiem: „Mały projekt — a wstyd"? Nie! — Powiemy czytelnikowi: „Uśmiechnij się!"...

k. b.

KAROTA

Okres noworoczny przyniósł wzmożoną falę odezw, list subskrypcyjnych, kalendarzyków, nadsyłanych w ostatnich latach coraz bardziej masowo z różnych miejscowości przez najróżnorodniejsze osoby, z jednym celem — karoty. Przodują w tej akcji komitety budowy takiego czy innego pomnika, komitety budowy lub odnowienia kościoła w nieznanej nikomu miejscowości, towarzyszą im liczne zrzeszenia nieraz bardzo znane, nieraz nikomu nieznane. Pierwszą wątpliwością, jaka nasuwa się przy przeglądaniu stosu druków wyjętych ze skrzynki pocztowej, jest czy z temi mniej czy więcej wzniosłemi celami nie możnaby poczekać aż się kryzys skończy, czy naprawdę pomnik w Grochowie i w Ostrołęce, a nawet pomnik Mickiewicza w Wilnie jest rzeczą pilniejszą niż baraki dla bezdomnych. Niezmiernie trudno regulować inicjatywę tego rodzaju, to też w tym wypadku chodziłoby poprostu o apel do zdrowego sensu i realizmu życiowego inicjatorów. Jeszcze gorsze jest to, że zacni spewnością, ale pozbawieni wyczucia rzeczywistości inicjatorzy wszelkiego rodzaju kwest, uciekając się do pośrednictwa poczty uchylają się tem samem od kontroli jaka istnieje nad kwestą uliczną i zyskują sui generis sojusznika w poczcie a zwłaszcza w przedsiębiorstwie „Reklama pocztowa". Najgorsza wreszcie ze wszystkiego jest forma do jakiej uciekają się częstokroć kwestujący. Zapewne każdy z czytelników Gospodarki otrzymywał wezwania do ofiar, o jakich mówimy i dlatego znane mu będzie przykre uczucie, jakie przeżywa się odczytując słowa „do dnia dzisiejszego nie zwrócił Pan listy ofiar, przysłanej WPanu listem poleconym. Wobec tego...." Tu już chyba byłaby potrzebna ingerencja władz. Ofiary dobrowolne nie mogą być zamieniane w drodze takich czy innych tricków na swego rodzaju podatek przymusowy.

a. u.

„SPOŁECZNICY"

Nie tak dawno, bo w Nr. 24 zeszłorocznej „Gospodarki Narodowej", pomieściliśmy natatkę pt. „Niekonsekwencja", traktującą o zamówieniach interwencyjnych w woj. Krakowskiem. Pisaliśmy wówczas o przyznaniu firmie Bat'a w Chełmku dostawy obuwia dla powodzian z pominięciem rzemiosła.

Obecnie tę wiadomość prostujemy. Dzięki bowiem odpowiedniej interwencji Bat'a nie otrzymał całego zamówienia: na 30.000 par obuwia przydzielono mu łaskawie 8.000. Ale nie o to chodzi. Stwierdzamy bowiem, że najbardziej zainteresowane i najbardziej do wspomnianej dostawy powołane rzemiosło uzyskało zaledwie 5.000 par, co stanowi połowę zamówień przyznanych zakładom fabrycznym, gdyż oprócz Bat'y wystąpiła z 1.500 par fabryka... wiedeńska.

A teraz nowy, równie pikantny szczegół. Oto drugą połowę zamówienia czyli 15.000 par obuwia uzyskało nowe, nikomu nieznane Małopolskie Towarzystwo Przemysłu Chałupniczego. Nie mamy nic przeciwko towarzystwu i koncepcji czynnej opieki nad chałupnictwem, gdyby nie dwie okoliczności: 1) prawdziwi chałupnicy znaleźli się w mniejszości, a na plan pierwszy wysunęli się faktorzy, część sprytniejszych rzemieślników (szyld chałupnicy bardzo się opłaca) i — znowu — kilka fabryk czy fabryczek obuwia; 2) Towarzystwo za swą „pracę" pobiera ni mniej ni więcej tylko 5% prowizji. Boże! broń nas od „społeczników"!...

k. b.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. Piotra Laskauera, Warszawa, Marjensztadt 8.